Nr. 6. Rok I.



Cena prenumeraty
kwartalnie w miejscu 15 sbr., na prowincji 18 sbr. 9 fen., w Krakowie i Lwowie 1 złtr. 20 c., w Galicji i w innych krajach austryackich 1 złr. 40 c.

Poznań, 4 Lutego 1871.

Redakcja
przy ulicy Berlińskiéj Nr. 11.
Ajencje:
Lwów: Milikowski, Gubrynowicz & Co.
Kraków: Friedlein, Józef Czech.

Studjum nad sympatją Niemców dla Polaków.

Aide-toi et Dieu t'aidera!
Lepiéj że ci zazdroszczą, niż że cię żałują!

Zaczynam od dwóch zdań, zwanych przysłowiami. Przysłowia, jak powiadają, są filozofją narodów, bo z ich doświadczeń wyrosły. Francuskie przysłowie może powstało za czasów orleańskiéj dziewicy, polskie — kiedy Bolesław Chrobry wbijał żelazne słupy w dno Sali i Dźwiny!

Narody wielkie, potężne nie potrzebują sympatji, współczucia, litości, lub tego, co dwuznacznie po francusku nazywa się pitié. Jak Francja przed niedawnym jeszcze czasem była szczęśliwą, że nie potrzebowała sympatji żadnego narodu, kiedy jeszcze narody z ogromném natężeniem słuchały słowa noworocznego jéj Cesarza! Dziś, gnębiona Francja posiada sympatję, c'est la pitié. Cóż jéj pomoże ta sympatja?

Byłbym szczęśliwy, gdybyśmy, jako naród, nigdy nie byli posiadali sympatji, téj okruchy spadającéj ze stołu przesyconego bogacza, téj jałmużny, rzuconéj avec pitié, żebrakowi, by się tylko pozbyć jego widoku, który przestrasza szczęśliwego w chwili, kiedy używa roskoszy.

Więcéj powiem, choć ryzykuję, że obrażam świętobliwe ucho niejednego z tych ludzi, którzy zbyt krótko widząc, wierzą, że płaszczyk pobożny wywieszony przez panujących, jest ich najszczerszém przekonaniem. Powiem jeszcze, że, — gdybyśmy od dawna, od 200 lat nawet, byli przyszli do tego przekonania, że na ziemi naturalne przyczyny mieć muszą naturalne skutki; że w naturze, któréj maluczką cząsteczką tylko są narody, zawsze tylko naturalne, nigdy nadnaturalne, czyli co to samo, nienaturalne prawa nie rządzą, Polska stałaby dziś wielką, potężną, z samoistną, z jéj ducha wynikłą cywilizacją, nie potrzebującą żadnéj sympatji, gardzącą wszelką antypatją i nie potrzebującą jałmużny, rzuconéj avec pitié.

Nie minęło jeszcze sto lat, jak cudzoziemcy cisnęli się do Polski, a Niemcy w owych błogich czasach utworzyli przysłowie: „In Polen ist was zu holen“, co było tłomaczeniem łacińskiego „ubi bene, ibi patria.“

Dziś Polska zubożała; wszystkie jéj cząsteczki tyle razy obdzierane, za pomocą konfiskat, kontrybucji, podatków, kommunalnych składek, dodatków do tego lub owego podatku, że już nie ma po co pójść do téj ziemi. Przysłowie od kilkunastu lat brzmi: „In Polen ist nichts zu holen.“

Otóż sympatja, otóż i — antypatja.

I.

Lecz pozostawmy te zdania urwane, wyrywające się z pod pióra człowieka, który sam kiedyś wierzył w sympatję Niemców, Francuzów, Anglików, Japończyków, księżyca i wszystkich gwiazd; który nawet wierzył kiedyś, że Moskal może się uradować powstaniem naszém, jako przedświtem własnego oswobodzenia z pod jarzma despoty, za którą to łatwowierność — poszedłem do Syberji.

Zwróćmy się do przyczyn sympatji Niemców dla nas, objawianéj nam aż do roku 1848.

Sympatja Niemców dla Polski i Polaków datuje się od czasów dawnych. Zrodziła się ona wtenczas, kiedy Polska była potężna na zewnątrz, bogata wewnątrz, kiedy niemiecko-rzymscy, lub rzymsko-niemieccy cesarze nie mogli się wdzierać w jéj granice i wytępić Polaków, jak wytępili resztę Sławian między Elbą i Odrą. Wtenczas to wielkie mnóstwo Niemców przybyło do Polski, która przez długi czas wyższa cywilizacją, obywatelską swobodą i bogactwem, wielkie miała ponęty dla zachodnich sąsiadów.

Wiekowe przyzwyczajenie się do nas, liczniejsze też coraz stosunki handlowe z nami, głównie zaś własna słabość, podzielonéj na liczną massę ojczyzn Germanji, obok bogactwa naszego, choć już rozszarpniętego kraju, zapewniły nam sympatję Niemców, jak waleczność wro-

dzona nam zyskała sympatję Francji, a raczéj francuskiego narodu. W Polsce łatwo było znaleść kawał porządnego chleba; lubiono nas dla tego, nawet chwalono nas publicznie. Tłum głodnych gości cisnął się do nas, by się ogrzać, nasycić.

W młodości uczyłem się bajeczki niemieckiéj, „der Igel und der Maulwurf (Jéż i kret).“ Kto z nas jéj się nie uczył? Otóż istny obraz sympatji, jaką narody dla nas miały, jaką mianowicie miał nam sąsiedni na zachodzie. Wszakże nie daleko widzący polski kret, własnemi łapkami wygodne wyrył mieszkanie, i do niego wpuścił jeża, który tylko czekał chwili, w któréjby z sympatji mógł przejść do antypatji. Chwila ta nadeszła dwadzieścia dwa lat temu.

Kto już w latach 1830 i 31 miał ośm lub dziesięć lat, ten wiele pamięta. Ja należę do tych ludzi.

Pamiętam, jak zawrzał bój z despotą, przed którym w dwadzieścia lat późniéj jeszcze drżała Europa, — przed którego wolą ugięły się w dwadzieścia lat po naszém powstaniu Prusy i Austrja. W owym to czasie, jak często bywało, słyszałem na fortepianach, skrzypcach, trąbach, dętych i niedętych instrumentach przez palce i dech Niemek i Niemców produkowane śpiewki: „Noch ist Polen nicht verloren,“ „Denkst du daran mein tapfrer Lagienko“ i t. p. Stały się one Gassenhauerami, które każdy ulicznik nucił i gwizdał, jak dziś gwiżdże: „Lieb' Vaterland musst ruhig sein.“

Pamiętam z jaką gorączkowością w owym czasie, kiedy jeszcze telegrafy lotem błyskawicy nie przenosiły wiadomości z jednego krańca świata na drugi, chwytano leniwo przychodzące zwyczajną pocztą gazety, donoszące o zwycięztwach naszéj broni, a choć policja w owym czasie, jako organ rządu, nie bardzo się cieszyła temi oznakami sympatji dla polskiego narodu, to i nic tak wielce uderzającego nie przedsięwzięła, żeby temu zapobiegać.

Kiedy wreszcie katastrofa, — nie wiem czy nieprzewidziana, — położyła koniec bohaterskim wysileniom naszego narodu; kiedy armja nasza przed pruską złożyła broń i chorągwie okryte chwałą; nie pamiętam, czy prócz urzędników był kto w całém Księstwie, a może w całém państwie, któryby nas nie żałował, któryby nie smucił się z naszego upadku, nie pokazał swéj sympatji. Rządy wyganiały naszych bohaterów z ziemi niemieckiéj, gdzie każdy człowiek uczciwy i niezawisły szczere im pokazał współczucie.

W owym to czasie, choć już może czytać umiałem, literatura jeszcze nie była mi znaną. Najuczeńszą zapewne księgą na świecie dla mnie był mój elementarz. Późniéj dopiéro obejrzałem się, i — ile mogłem, — starałem się poznać czas, który przeżyłem jako dziecko.

Otóż w tym dojrzalszym już wieku znalazłem dowody szczeréj dla nas sympatji niemieckiego narodu po za granicami pruskiego państwa. Znalazłem: Memoiren über Polen unter russischer Herrschaft von Harro Harring, których drukowanie nawet było zabronioném, a drukowały się pod firmą „Deutschland 1831.“ Znalazłem: Geschichte des polnischen Aufstandes von Otto Spacier w trzech grubych tomach, których pierwsze wydanie zaczęto drukować w Anspachu, ale także zabronioném zostało, a nie pamiętam już, gdzie wreszcie mogło się ono doprowadzić do końca. Oprócz tego wyszła jeszcze jedna historja powstania (zdaje mi się Hermesa w jednym bardzo sporym tomie) z wizerunkami naszych najznakomitszych generałów. Daléj pisał o nas Raumer, a w roku 1848 jeszcze za nami przemawiał Dr. Metzig. Wszyscy ci ludzie pisali z wielką sympatją dla naszego narodu, którą nam prócz tego jeszcze okazywano w nótach, rycinach i t. p. Jedném słowem okazano nam sympatję na każdym kroku, lubiono Polaków i Polskę, a gdyby to było zależało od niejednego szpiesbürgera, nie jedna a sto ojczyzn polskich byłoby wskrzeszonych. Jeż jeszcze nie wlazł był całkowicie do nory kreta.

A my cośmy tymczasem robili? Cieszyliśmy się sympatją ogólną całéj Europy, a nawet Ameryki i — zasnęliśmy na laurach. Zamiast brać się sumiennie do pracy organicznéj, wzbogacić się materjalnie i intellektualnie, żyliśmy życiem — Don Żuana Poznańskiego (nie tylko, ale polskiego). Śpiewak tego poematu, Ryszard Berwiński, miał rację, że nas wyśmiewał; znał nasze wady dokładnie, i tylko jedną widział cnotę w nas, którą streścił w słowach: „ile kpów tyle żołnierzy, niech tylko kto alarm uderzy!“

Ten alarm uderzono 1848 roku!

II.

Cóż Europa robiła przez lat ośmnaście naszego na laurach odpoczynku?

Europa organizowała się! Nauki szerzyły nowe idee; nowe idee rodziły nowe wynalazki, koleje żelazne, telegrafy, machiny parowe: wszystko to, jak grzyby przez noc wyrastało z niepojętą prędkością, a z wszystkiém tém powstała téż myśl o jedności niemieckiéj. Zaczęto śpiewać: „Ich bin ein Deutscher“ i „Schleswig Holstein meerumschlungen.“ Specjalnie pruska pieśń narodowa ustąpiła na tylny plan. Nasze szczęśliwe Poznańskie spało i nie spostrzegło, co się dzieje na świecie; nie spostrzegło, że będąc pod panowaniem pruskiém, trzeba się starać o to, aby — nie zniemczeć przynajmniéj.

Kiedy wartość ziemi za granicą rosła do cen nam niepojętych, już to skutkiem nowego rodzaju użytku, jaki z niéj zrobiono, pod koleje żelazne, składy, fabryki i t. p.; już téż przez inteligentniejszy sposób uprawy, u nas ziemia pozostała w stanie dawnym i w dawnéj téż cenie. Żyliśmy przytém po polsku, co stało się przyczyną długów, subhastacji — i przejścia majątków ziemskich w ręce niemieckich spekulantów.

Prócz tych, którzy przybywali do nas z jakim takim kapitałem, przybyło także dużo proletarjuszów z ościennych prowincji, jako robotnicy przy różnorodnych przedsiębiorstwach tak publicznych, jako i prywatnych. Element niemiecki naszym kosztem rósł i mnożył się, jak piasek na brzegu morskim, tak że się obecnie zdawać może, że i z nim stał się cud, jaki przypuszczają talmudziści u żydów w Egipcie, gdzie każda kobiéta miała rodzić po 6—7 dzieci na raz.

Z początku, prawda, przyszedł do nas brak tylko sąsiadów, fusy społeczne. Lecz i one nas prędko prześcignęły w bogactwie zdobytém przez oszczędność i pracę, a ponieważ pieniądz daje możność kształcenia się, prześcignęły nas i intellektualnie.

Koleje żelazne sprowadzały nam codzień nowych, a nieproszonych gości; lecz jeż jeszcze kolców nie najeżył.

Przyszedł luty 1848 roku!

Europa nagle się zapaliła na wszystkich rogach. My uwierzyliśmy, że w tym pożarze spalą się traktaty bez nas i przeciwko nam zawarte: Minotuli uzbroił naszą młodzież akademicką w Berlinie, która przy najsympatyczniejszych okrzykach wyjechała ze stolicy Prus, aby pokazać, — że Berwiński ma rację!

Wszakże w owym czasie Niemcom nic złego nie robiliśmy! Wszakże wszystkie krzyki na uzbrojonych naszych były kłamliwe. Ale — jeż chciał sam pozostać się w norze nie przez niego wykopanéj! Komu ciasno, powinien wychodzić. Skończyła się sympatja! Ostatnie jéj promienie widzieliśmy w Herrnstadzie i Zielonogórze (Grünberg); pierwsze dowody antypatji spostrzegliśmy w Schlichtingowie, Głogowie, i, w kształcie cegieł i kamieni lecących przez okna kawaleryjskich koszar, w Frankfurcie nad Odrą*).

*) Zapewne każdy z Szkoły podchorążych z r. 1848 zesłany do Kiestrzyna pamięta te sceny.

Do r. 1848 mieliśmy tylko rządy przeciwko sobie, nie wyłączając nawet francuskiego, bo król Ludwik Filip na doprawdy nie pamiętał, że go Sebastjani przylepił do swego tronu krwią naszą. Chcąc sam, aby jego uznawali monarchowie Europy, wprowadził w politykę zasadę du fait accompli*), która się rozwinęła do zasady „bierz co możesz“ — prenez ce que vous pouvez.

Od r. 1848 rozpoczęła się jawna agitacja na rzecz jedności Niemiec, którą my publicznie i prywatnie nazywaliśmy godziwą i słuszną, a która się kończyła — linją demarkacyjną generała Schaeffera w Poznańskiém.

Rodzicami téj linji byli Necbrudery, stowarzyszenie Niemców, którzy się wcisnęli do nas, i nagle uważali za przednią straż Germanji w swym pochodzie ku wschodowi. W tym pochodzie jednak wstrzymywał ją jeszcze strach przed Mikołajem; z nami była łatwiejsza sprawa, bo tylko potrzeba było krzyku, aby sympatję Niemców niepoznańskich skierować na stronę krzyczących na ucisk braci w Poznańskiém. Sympatja dla polskiéj sprawy przepadła.

Urodziła się sympatja innego rodzaju, o któréj ja sam do r. 1862 nic nie wiedziałem, o któréj dotąd nic nie pisano, o któréj zatém publiczność polska nie wiele wiedzieć może. To nowe dziecko czułości naszych sąsiadów nazywa się sympatją dla Polaków połączoną z antypatją dla Polski. Trzeba być uczniem Fichtego, Kanta, Hegla i Szellinga razem, żeby ten syllogizm zrozumieć. Lecz niemiecki rozum to pojmuje i rozumie. Kiedy mi kilku Niemców (w r. 1862 w czasie méj podróży ku zachodowi), ten nowy utwór swego serca pokazało, kiedy mi wreszcie w Meklenburgu wysoki dygnitarz nawet ten non-ens deklamował, przyznaję się, że schwyciłem się za głowę, bo nic nie rozumiałem.

Objaśniono mnie.

Wszyscy, z którymi o tém w owym czasie mówiłem, powiedzieli, że Polacy, jako ludzie, są zdolni, uczciwi, zacni, honorowi, a jeśli się do czegokolwiek biorą, to wielką pokazują inteligencję. Ztąd dla nich, zatém dla indywiduów, dla jednostek, szacunek i ogromna sympatja.

Lecz kwestja polska? A to rzecz inna; ona budzi ich ze snu, przerywa im pracę, a najpewniéj przypomina im gwałt, krzywdy wyrządzone: tego nie pragną i nie życzą sobie. Otóż przyczyna, dla czego się skończyło z sympatją dla Polski, dla sprawy naszéj.

Przyznawałem w takich rozmowach słuszność Niemcom, że dążą do jedności, która w następstwie mieć musi siłę i swowodę, i ztąd wnioskowałem, że równa słuszność nam się należy. Lecz stój!

„Wie war das Urtheil Alexanders?
„Ja Bauer das ist ganz was anders!“

Taki był koniec rozmowy barona z chłopem o zapłacenie szkody wyrządzonéj przez pańskiego psa chłopu, koniec znanéj zresztą niemieckiéj bajki.

Tu mógłbym śmiało kończyć krótkie moje studja nad sympatją Niemców dla nas; lecz pisząc już, winienem także oddać pod krytykę mój sposób zapatrywania się na środek, jakim dojść możemy do tego, aby znów pozyskać tę utraconą sympatję, ten klejnot, za którym wzdycha każdy, któremu się nie chce pracować nad — — własném i kraju odrodzeniem.

To treść trzeciego ustępu moich studjów.

III.

Każdy wiek ma pewną ideę, pewną tendencję — tak mówią uczeni. Ja uczący się wiecznie powiadam: każdy wiek ma swoją — pościel, na któréj duchowo leniwy spoczywa; swoją manję, w którą każdy zapaleniec wierzy; swoje słowo, którém mądrzejszy głupiego łudzi! Każdy wiek ma swoje: panem et circenses!

Wiek wojen krzyżowych — grób święty; średnie wieki — piękne oczy lub wstążkę kochanki; czas wojny z Turkami, — rycerską obronę wiary; trzydziestoletnia wojna, — prawdy religijne; rewolucja francuzka, — wolność, równość i braterstwo; pierwsze cesarstwo — sławę bohatera; nasz wiek do roku 48 — sympatję narodów, przynajmniéj co się tyczy naszéj sprawy.

A ludy?

„Ludy, spodlone ludy“, jak kiedyś śpiewał w swych „Sonetach żołnierskich“ Kajsiewicz, wszystkie te idee, te manje przyjmowały za wielkie prawdy. Hordy głupców poszły, gdzie ich mądrzejszy poprowadził, który sam nie wierząc w cuda, potrafił swoją ideę przedstawić za coś cudownego, za natchnienie.

Lecz mniejsza z tém wszystkiém; mnie mało interesuje to, co się tyczy innych narodów, czy im dobrze, czy im źle. Nie lubię cudzéj matki płakać, kiedy mojéj nie ma; jestem polityczny egoista!

Z tego stanowiska sądząc, zapewne każdy pojmuje, że ja byłbym nader obojętny na to, czy na wieży Sgo Szczepana w Wiedniu stoi krzyż, czy półksiężyc, kiedyby tylko Polska była; a ona byłaby, gdyby był w Wiedniu nie cesarz austrjacki, — a turecki pasza, bo ten nigdyby nie był zezwolił na podział Polski.

Tymczasem poszedł Sobieski ratować Wiedeń, jak powiedział łatwowiernéj rzeszy, dla obrony chrześcijaństwa; jak powiada historja dla obrazy teścia, dla tego, że go Ludwik XIV nie zrobił księciem. Uratował Austrję, która sobie za to przywłaszczyła piękny kawał Polski, a któréj obecnie znów swą krwią bronić musimy, nie chcąc by Galicja wpadła w ręce Moskali.

Kiedy już upadliśmy, cieszyliśmy się znów sympatją narodów i spodziewaliśmy się cudów. Sądziliśmy, że sympatja narodów nas zbawi, że nas uwolni z kajdan, że nam sama odbuduje ojczyznę! Wszakże i teraz jeszcze jest wielka liczba wierzących.

A czyż Polska słaba jest potrzebną narodom? Anglik kontent, że ma bawełnę, wełnę i pszenicę. Wszakże ziemia polska dostarcza dwóch ostatnich artykułów w dostatku i bez samoistnego, państwowego bytu. Francja potrzebowała krwi szlachetnéj; wszakże ją miała i ma bez udzielnéj Polski. Niemcy potrzebowali i potrzebują złota; wszakże i to z rozszarpanéj Polski płynie; potrzebują przestrzeni, — wszakże téj właśnie dostarcza ujarzmiona Polska.

Inne narody nie mogą niczego chcieć od nas, i niczego prócz czczéj sympatji nam dać nie mogą, bo same, — prócz Moskwy, — nic nie ważą i potrzebują sympatji, potrzebują same — pitié.

Póki Niemcy były słabe, naród miał sympatję dla nas, sądząc, że nas kiedyś może potrzebować. Obecnie naród silny, sam nie potrzebujący sympatji — na cóż ma mieć sympatję dla nas? Czyż my ważymy na szali narodów? Czém?

Naszém imieniem? Naszą przeszłością? Tego mało!

Trzeba, aby zaważyć na szali polityki, nierównie więcéj, bo polityka to nie romans, „to nie w herbie z mieczem ręka“, bo to jest praktyczne życie narodów, to coś namacalnego, materjalnego. Trzeba zatem dać narodom coś materjalnego, a tém jest inteligencja i bogactwo zdobyte usilną pracą.

Jak tylko znów się wzniesiemy umysłowo przynajmniéj na równię z pierwszemi narodami Europy; jak znów przez poważną pracę będziemy bogatymi, wtenczas —

Wtenczas nie potrzeba nam będzie sympatji całéj Europy razem wziętéj, bo nasza sympatja jéj będzie potrzebną, by odeprzeć mongolizm do stepów Azji.

Długa droga a trud ślizki — to prawda, lecz jak nas cuda nie wskrzesiły, tak nas sympatja nie wskrzesi a jedynie to, co ja nazwałem materją.

Coby też to była za Polska, ta Polska utworzona cudem, lub sympatją! Elle me ferait pitié, na prawdę.

*) Co można śmiało tłomaczyć na: beatus qui tenet.

Toby było państwo luksemburgskie, albo belgijskie, lub holenderskie, a może też państwo — Monaco.

Cavour takiéj Italji nie byłby nigdy przyjął; do odbudowania takiéj ojczyzny Dantego nie przyłożyłby był ręki. Włochy nie utworzyły się ani cudem, ani sympatją, a pracą, materją, siłą, którą myślał na swoją korzyść obrócić Napoleon III. Francja miała interes w istnieniu jednolitych Włoch — i one istnieją i istnieć będą bez wszelkiéj sympatji innych narodów, dopóki postępować będą. Biada Włochom, skoro im znów przyjdzie potrzeba sympatji ościennych narodów i dalekich ludów; wtenczas znówby się podzielił niemi...... i niemiecki cesarz, który zapewne po dawnemu będzie mnożycielem, czy powiększycielem świętego rzymskiego państwa, germańskiéj nacji.

Biada ludom potrzebującym sympatji!

Aide-toi et Dieu t'aidera.

Lepiéj, że ci zazdroszczą, niż że cię żałują!

Wągrowiec dnia 18 stycznia 1871. **A. K.**

Pod jednym dachem.

Powieść

przez

Wołodego Skibę.

(Ciąg dalszy.)

— Więc pani nie lubi odwiedzin?... — zagadnęła panna Eleonora.

— Owszem... ale mało mam znajomości, — odpowiedziała nowa lokatorka, od któréj trudno w istocie spodziewać się było inakszéj odpowiedzi, gdyż wszelka inna byłaby w tym razie niegrzeczną.

— A więc jako sąsiadki będziemy mogły czasami..

— Będzie to dla mnie nader przyjemne, — przerwała tonem dosyć pospolitéj grzeczności Jadwiga.

Upłynęła godzina, więcéj nawet, bo już wpół do dziesiątéj wybiły zegary krakowskie, a panny Rękalskie jeszcze nie opuściły swéj nowéj lokatorki, tak im szło o to, żeby biedaczka nie zanudziła się sama.

Około godziny dziewiątéj doktor Tucki miał zwyczaj wychodzić na miasto, nie dla tego, żeby już o téj godzinie spieszył do pacjentów, lecz że była to chwila, w któréj, pod jeneralną komendą pani Tuckiéj, rozpoczynało się w domu sprzątanie, przyczém zawsze było tyle hałasu, krzątaniny i kurzu, że szanowny medyk nie mógł jednéj myśli zebrać spokojnéj; wolał więc tę godzinę przechadzce po plantacjach poświęcić.

Zgodnie z tym zwyczajem mąż pani Heleny z Papacińskich w pamiętnym dniu sprowadzin, z uderzeniem dziewiątéj wyszedł na miasto.

Na takich przechadzkach przypatrywał się zwykle ludziom, a jeżeli na plantacjach mało było przechodniów, to rozglądał drzewa i domy, robiąc spostrzeżenia może bardzo ważne i ciekawe, może też zwykłe flanerskie, o których zapominał w chwilę potem. Nie miał zwyczaju opowiadać się nikomu z tego, co widział na flanerce, więc nic w tym względzie pewnego powiedzieć nie możemy.

Po przejściu kilkuset kroków doktor spostrzegł zdaleka jakiegoś nieznajomego mężczyznę. Twarz jego uderzyła Eskulapa; wymijając się z nim, medyk nasz zrobił sobie nawet w duchu jakąś tajemniczą uwagę, która dała się słyszeć niby wykrzyknik:

— O!... o!... o!...

Wyminęli się, — uszedłszy kilka kroków, doktor się obejrzał, pomrukując coś znowu pod nosem. Potem zatrzymał się i patrzył, a wreszcie zdaleka iść zaczął za spotkanym i mówił sobie już wyraźnie:

— Doprawdy ciekawy egzemplarz.

Nieznajomego spotkało zatem to, co w przeddzień przytrafiło się pannie Izie, — zrobił konkietę spotkanego mężczyzny i był przez niego ściganym.

Dla mężczyzn nie jest to jednak ani rzeczą tak drażliwą ani tak niebezpieczną, jak dla panienek, a przytém mężczyźni nie mają tak dobrze uorganizowanych oczu, jak panienki, i tego co się dzieje za ich plecami, bez wyraźnego obejrzenia się zobaczyć nie mogą. Tym sposobem nieznajomy nie spostrzegł wcale, że doktor Tucki postępuje za nim, a gdyby był nawet spostrzegł, z pewnością nie przeraziłby się tem, jak panna Iza.

Co w nieznajomym mogło tak żywo zaitrygować doktora, tego się niełatwo domyślić. Nieznajomy ów był ubrany tak, jak się zazwyczaj ubierają ludzie porządni, nic w jego stroju nie odznaczało się ni pospolitością, — chód jego był zwyczajny, postawa taka, jakich wiele, w rysach nie uderzającego, więc niezawodnie nie strój, nie chód, nie postawa, nie rysy pociągnęły za nim Eskulapa Doktor Tucki znał go zkąd może kiedy, albo kogoś podobnego do niego, a może był po prostu dziwakiem, któremu czasem przychodziła fantazja śledzenia kroków ludzi nieznanych, — dosyć że szedł za nim dość długo.

W końcu jednak wędrówka ta sprzykrzyła się widać doktorowi, bo gdy już było blisko Babiéj wyspy, machnął ręką i zawrócił w swą stronę, zaprzestając pogoni, i mówiąc półgłosem:

— Eh! co mi tam!... musi mieszkać gdzieś daleko za miastem .. szkoda butów!... ale że ciekawy egzemplarz, to ciekawy... takiego jeszcze nie widziałem.

Gdyby był doktór Tucki nie pożałował jeszcze kilkudziesięciu kroków i pilniéj zwracał uwagę na wszystko, co się owego ciekawego egzemplarza tyczyło, byłby zrobił te spostrzeżenia, które w téj chwili właśnie, znów z poza szyb i liści robiła sobie panną Iza.

Panna Iza zdaleka spostrzegła tego właśnie przechodnia, któremu doktór nadał przydomek ciekawego egzemplarza, i poznawszy go od razu, zawołała:

— On!

W chwilę potem spostrzegła, że równolegle z idącym aleją Józefem Pilskim, — gdyż to on był rzeczywiście, — postępowało ulicą dwóch posługaczy publicznych, ciągnących wózek wyładowany rozmaitemi ruchomościami, i powiedziała sobie:

— To jego rzeczy.

I to spostrzeżenie panny Izy nie było mylne, — nowy lokator sprowadzał się rzeczywiście.

Nim jeszcze osoba i mobilja Pilskiego znalazły się przed bramą, panna Iza z tegoż samego posterunku zdążyła zrobić oczny rekonesans jego sprzętów.

Rekonesans ten wypadł wybornie. Wszystko, co posiadał Pilski wydało się pannie Rękalskiéj gustowném, znamionującém smak, przyzwyczajenie do dobrobytu, porządek, zamożność, słowem całą litanję dodatnich lokatorskich przymiotów.

— Tego meble, — mówiła sobie panna Iza, — zupełnie niepodobne do gratów tamtéj..

Tutaj chciała dodać, albo może nawet dodała w myśli jakiś przymiotnik; jaki?... domyślmy się chyba.

Różnica, jakiéj wzrok panny Izy dopatrzył się po-

między meblami Pilskiego a meblami Jadwigi, była rzeczywiście tak mała, że sprzęty te wyglądały jakby wynajęte były od jednego i tegoż samego handlarza z ulicy szpitalnéj, i gdyby je zestawić razem mogłyby łatwo uchodzić za jeden i ten sam garnitur. Mimo to panna Iza widziała doskonale całą piękność sprzętów lokatora i całą brzydotę ruchomości lokatorki, — co jest dowodem znakomitéj bystrości jéj wzroku, tego wzroku, którego tyle zdumiewających własności odkryć już mieliśmy sposobność.

Starsze siostry w téj właśnie chwili zajęte były instalowaniem nowéj lokatorki, naturalnym więc biegiem rzeczy pannie Izie przypadło zainstalować nowego lokatora i oddać mu w posiadanie jego przyszłą siedzibę.

Wręczenie klucza od lokalu panna Iza dopełniła z gracją sobie właściwą, i z niewysłowionym wdziękiem przeprosiła Pilskiego, że jeszcze jedna szyba nie wprawiona, bo szklarza naprędce znaleść nie było można, zapewniła go jednakże, że się to niezawodnie w ciągu dnia ułatwi.

Pilski podziękował dość mrukowato, bo tylko monosylabami i ukłonem, przy którym nawet w oczy pannie Izie nie spojrzał.

Nieśmiałość ta, — panna Iza była bowiem najmocniéj przekonaną, że to nieśmiałość, — nie uderzyła jéj bynajmniéj nieprzyjemnie.

— Gdyby był zbyt śmiały, bałabym się go... — pomyślała, — przytem z tą nieśmiałością tak mu do twarzy...

Nie wypadało dłużéj być natrętną, ukłoniła się zatem grzecznie i z sercem przepełnionem tysiącem wzruszeń, wróciła do swego pokoju, aby znowu samotnym oddać się dumaniom.

Pilski zajęty urządzaniem swego pokoju niedługo jednak sam pozostał.

Nim jeszcze się choć z grubego, jak to mówią, rozgościł i ulokował w swoim pokoiku, otworzyły się drzwi i ukazała się podczesana dopiéro, że tak powiemy, bo jeszcze mnóstwem papilotów najeżona, główka Kazi, z zapytaniem:

— Czy można?

Pilskiemu nie bardzo spodobała się ta wizyta, odpowiedział jednak:

— Proszę... czegoż to panienka sobie życzy?...

Kazia wbiegła wesoło i zaczęła po kolei brać w ręce i oglądać wszystko, a tymczasem szczebiotała odpowiedź:

— Ja... nic... ja się chciałam tylko zaznajomić z panem sąsiadem... zobaczyć jak tu pan sobie wszystko pourządza, czy tu panu będzie wygodnie... ale widzę, że będzie panu dobrze... Pan ma więcéj rzeczy i ładniejszych, jak wszyscy kawalerowie, co tutaj przed panem mieszkali.

— Tak panienka powiada?... więc panienka i u moich poprzedników bywała?...

— A jakże?... ja wszędzie bywam...

— Jednak u kawalerów, to nieładnie... to nie wypada...

— Ja wiem, że to nieładnie i nie wypada bywać pannom w kawalerskich mieszkaniach, — odpowiedziała śmiejąc się Kazia, — ale ja, to co innego?...

— Dla czegoż?...

— Bo ja jestem jeszcze dziecko, a dzieciom to wszystko wolno...

Pilski spojrzał na Kazię i uśmiechnął się złośliwie. Trudno było zaprzeczyć, że Kazia była jeszcze dzieckiem, ubiór jéj świadczył o tem wymownie, — ale gdyby ten ubiór odmienić, mogłaby zaraz, na poczekaniu, stać się dorastającą panienką i nikomuby na myśl nie przyszło poczytywać jéj za dziecko. Zresztą nawet bez zmiany ubrania można było zaprzeczyć pewnych przywilejów dziecka; dziecko, które tak doskonale wiedziało, co starszym panienkom nie wypada...

Takiemi rozmowami jak powyższa, tą naiwnością śmiałą i mówiącą wszystko co na myśl przyszło, tą ruchliwością, która sprawiała, że jéj wszędzie było pełno, Kazia zyskiwała sobie u mężkich lokatorów Babiéj wyspy tyle, że jéj wybaczali bardzo wiele, a pozwalali na wszystko. Pilski jednakże z innéj widać ulepionym był mąki, bo wkrótce uśmiech jego złośliwy, zmienił się w niechętnego marsa.

— Dziecko, dziecko, — powtórzył, — a nie gniewałabyś się, moja panienko, gdybym ci jako dziecku zaczął mówić ty i nazywać cię po imieniu?...

— A o cóżbym się gniewać miała, proszę pana?... niby to wszystkim dzieciom starsi tak nie mówią?... Owszem... niech mnie pan nigdy inaczéj nie nazywa jak Kazią...

— I jakże ty myślisz, Kaziu, że ty długo jeszcze dzieckiem zostaniesz?...

— Albo ja wiem... może i niedługo...

— Po czémże poznasz, żeś jest dorosła? — badał ja daléj Pilski, którego młode dziewcze zaciekawiać zaczęło.

— Po tem, po czem wszystkie panny poznają, proszę pana, — odpowiedziała Kazia, która nie umiała się jąkać i wahać, i na wszystko, o co ją zapytano, natychmiast była gotową odpowiedzieć.

— To jest... po czém?...

— Ba!... albo to pan nie wie?...

— Że wiem, to pewna... alem chciał ciebie wyegzaminować.

— A ono, to dobrze... zobaczysz pan, że umiem lekcję... Jak któréj panience pięknéj jaki kawaler powie, ale tak z całéj duszy, z całego serca, że ją kocha, to jest ta panienka z pewnością dorosła i nie jest dzieckiem.

Pliski namarszczył się znowu.

— Ta dziewczyna wie za wiele, — pomyślał, — ciekawym kto ją tak szkaradnie wychował?...

Przyszła mu ochota zaambarasować mniemane dziecko.

— Kiedy tak, moja Kaziu, to ja cię przekonam, żeś już nie dziecko, — rzekł poważnie.

— Ciekawam jakim sposobem?...

— Powiem ci, że cię.. kocham...

Pilski był pewnym rumieńca, ale Kazia rozśmiała się tylko.

— Oho! ho! — zawołała, — co w to, to nie uwierzę!...

— Czemuż?...

— Mógłbyś mi pan to tylko żartem powiedzieć!...

— Dla czegóż nie na prawdę..,

— Bo pan się już kochasz...

— Ja?... w kim?...

— W pannie Izie...

To powiedziawszy Kazia klasnęła w ręce, potém wskazującym palcem prawéj ręki na wskazującym ręki lewéj wykonała tak zwane „skrobanie marchewki“ i śmiejąc się wybiegła z pokoju, zostawiając Pilskiego, który popatrzył za nią przez chwilę, pomrukując pod nosem:

— Otóż dziecko!...

Zabrał się znowu do porządkowania swego pokoiku i podczas téj czynności przyszło mu na myśl, że Kazia nie mogła przecież tak na wiatr rzucić imienia jakiéjś panny Izy i posądzić go o miłość dla niéj. Mniemane dziecko musiało mieć jakąś podstawę do téj przypominającéj maskaradę intrygi.

— Musiała tu, — pomyślał nowy lokator Babiéj wyspy, — równocześnie z mojém sprowadzeniem się, zjechać zkądś na językach jakaś głupia bajka, a dom ten musi być rolą, na któréj zasiew plotek bujne żniwo rodzi... Żebym choć znał jaką pannę Izabelę, tobym

rozumiał zkąd się to wzięło, ale doprawdy jak żyję nie słyszałem o żadnéj... i w mojém położeniu czyż mi mogą przyjść na myśl jakieś tam romanse?...

Panny Rękalskie zwykły były nazywać się zawsze po imieniu w rozmowie. Pilski jednak wynajmując mieszkanie tak mało na to zwracał uwagę, że nie zapamiętał nawet, że jedna z nich nosiła imię Izy, pod którém zarówno Izabeli jak Izydory można się było domyślać.

Ta okoliczność nic pomyślnego nie wróżyła nadziejom i widokom panny Izydory, ale niestety, była zbyt prawdziwą, żebyśmy ją mogli zataić.

Ze słów Kazi nowy lokator dowiedział się zatém bardzo niewiele. Były one dla niego jedynie ostrzeżeniem, że jakaś plotka o nim kursuje po Babiéj wyspie, i że dom, do którego się wprowadził, był jedną z owych kuchni, w których na cały Kraków smażą się to śmieszne, to alarmujące, to znów skandaliczne i kompromitujące rozmaite osoby, pogłoski.

— Dobrze i to wiedzieć, — rzekł sobie, — trzeba się mieć na baczności i nie bardzo z sąsiadkami zadawać... Przedewszystkiém obejrzę zamek u drzwi, zdaje się, że zasuwka nie będzie zbyteczną... Wizyty takiéj Kazi kilka razy na dzień, mogłyby życie moje, i tak już złamane, zatruć ze szczętem.

Pierwszym więc sprawunkiem, o jakim nowy lokator na Babiéj wyspie pomyślał, była porządna zasuwka i w tym celu, nie ukończywszy jeszcze ustawiania swoich sprzętów, wyszedł na miasto do ślusarza.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Podarek ślubny Polce.

Polko! nie zazdrość ty blasku,
Nie zazdrość siostrom piękności,
Ani czczéj złudy poklasku...
To się twéj matce nie przyda!
Ty bądź aniołem skromności,
W cichéj, ubogiéj żyj chatce,
I chwały zazdrość téj matce,
Co była matką Dawida!

Polko! nie zazdrość swobody,
Siostrom, co niby ptak wolne,
Wiek przeigrają swój młody;
Ty od dziecięcia poduszki
Mężnie znoś trudy mozolne.
Wolnym tchem karmiąc swe dziecię,
Chwały — téj zazdrość kobiécie,
Co była matką Kościuszki!

Krzyża się przeczuć nie zlęknij,
Ty w poświęcenie zbrój serce!
Gdy cię ból starga, to klęknij:
„Bądź wola tego co w niebie...“
W koło czyhają morderce:
Bądź mężna! chociaż ci szepce
Przeczucie, że się w kolebce,
Może Konarski kolebie!

Karól Brzozowski.

Z Moich Wspomnień.

O życiu towarzyskiém w Warszawie

przez

Paulinę z L. Wilkońską.

(Dalszy ciąg).

Schodzono się zwykle dopiéro około godziny dziesiątéj — a wielu przybywało i późniéj. Ale można było już i po ósméj kilka poufniejszych zastać osób. — Tualety pań były piękne — mężczyźni w tradycyjnych frakach i jasnych rękawiczkach. — Liczne zebranie podzieliło się na znajomsze sobie kółka, a staraniem gospodarstwa było zapoznać jednych z drugimi. — Służba roznosiła herbatę i ciasta; daléj chłodzące napoje — a wreszcie wino i zakąski. — O godzinie dwunastéj wniosła pani domu pierwsze z cygarami pudełko. Służba na stołach i stolikach rozstawiła ich kilka. — I wtedy panie, niechcące cygarowym oddychać dymem. wychodziły niebawem jedna po drugiéj. Pozostawało się wszelako zawsze jeszcze kilka lub kilkanaście. Pomiędzy temi niekiedy ṫ jenerałowa Rautensztrauch — osoba nader ożywiona, przyjemna w rozmowie — bystra i dowcipna. — Przerzedziło się zatém w salonie, ale i wszystko ożywiło się więcéj. Gwarzono raźniéj. Rozmowa stała się mniéj krępowaną i podzielone dotąd łączyły się grupy. Nieraz August opowiedział humorystycznie coś z życia — jaką żywą ramotkę, — czém wszystkich do wesołego pobudził śmiechu.

Nad ranem podano herbatę. Wychodząc wśród szarego zarania — a niekiedy wprawdzie i białego, gdy śnieg ziemię przysypał, — wspomnieliśmy sobie autora Sędziwoja, który gdzieś tam daleko nad Sekwaną — a może i nad Tybrem — wiódł ciężki żywot tułacza — jak to ongi w szlachetnym bólu białe podarł rękawiczki.

— Mało serc jest tak poczciwych i szlachetnych — wymówiłam, a August dodał:

— A szkoda wielkich zdolności i nauki, które się marnują. Otóż to są nieszczęsne ofiary, gdy kraj politycznego nie ma bytu!

Gdym po raz pierwszy na poniedziałkowym była wieczorze — w porze letniéj — nie wiele zebrało się osób. Z kobiét, prócz pani domu i panny Kazimiry, mężczyzn przyszło do trzydziestu. O dwunastéj, jak zwykle, podano cygara.

— Zapal pani — zachęcała pani domu — bo inaczéj żaden z panów nic zapali.

Wzięłam przeto papyros. Ale, że palić nie umiem,

a dym mnie krztusi — więc tylko dmuchałam zlekka, by tlił się papier, dopóki panowie swoich nie zapalili cygar.

— Jaka z pani bonne cammerade! — ozwał się profesor Dominik Szulc, przedstawiony mi przed chwilą, ze swoim niby ironicznym uśmiechem; a uśmiechały się i oczy jego zarówno.

— Dla czego? zapytałam.

— Palisz pani papyros a nie umiesz, i poświęcasz się jedynie dla dobréj kamraderji.

— Czyliż to ma być komplement?

— Bynajmniéj, pani! ale zkądżeż to zapytanie?

— Bo wiém, że pan z każdego pożartować lubisz, prawiąc komplementa niezasłużone... monstrualne niekiedy.

— Monstrualne! panią szkaradnie uprzedzono o mnie.

— Ostrzeżono mnie tylko. Pan lubisz, co to nazywają, brać na fundusz: sypać wonne kadzidła... dla zabawy własnéj.

— O! o! o! Ale już wiem kto pani tak ujemnie mój obraz skreślił, to Mefistofeles!

Tak nazywał Włodzimierza Wolskiego.

— Jeżeli on, to dał mi tą przestrogą dowód szczeréj życzliwości, bo ambra odurzać zwykła, a jeszcze nas, słabe kobiéty! Pan sobie pożartować lubisz.

— Ale, gdy powiem prawdę...

— Prawda jest wiarą! Lecz prawda wygnaną została z dykcjonarza komplementów.

Właśnie przyprowadziła pani salonu Józefa Komorowskiego, by nam co przeczytał — a czytał prześlicznie. Na stole kilkanaście leżało książek, pomiędzy temi i Mickiewicz. Komorowski podjął tom jeden — usiadł — przerzucił stronice — a w salonie zrobiło się cicho, jakby w świątyni milczenia.

Czytał nam: Ugolino. Nie deklamował — czytał tylko, lecz każdy wyraz padał, jakoby dźwięk srebrny, jak gdyby posypały się perły, perły przepiękne, dźwięcznéj po nad wszystko mowy ojczystéj! — Głos piękny, wymowa wyrazista — głębokie zrozumienie wielkiego wieszcza — uobecniły nam ten obraz pełen zgrozy — srogie męczarnie — katusze piekła — i śmierć — że aż dreszcz przejmował.

Komorowski czytać skończył — a milczenie, silném wywołane wrażeniem, przez długą jeszcze potrwało chwilę.

W parę dni potém spotkałam na ulicy szanownego profesora, Dominika Szulca. Uśmiechał się już z daleka. Powitaliśmy się — i zagadał:

— Przeczytałem wczoraj pani Młynarczankę z Czarnopola, pospołu z przyjacielem S. — i...

— Tylko pan profesor nie chwal! — przerwałam mu zaraz, — bo będę wierzyła, że żartujesz. Przeczytałam gdzieś niedawno: Le pouvoir croit tout quand on le flatte. A cóż dopiéro my wątłe, słabiutkie!

— No, no, to już nic nie powiem. Ale jutro przyniosę pani coś do przeczytania.

— Proszę!

Przyszedł nazajutrz — i przyniósł mi streszczony wykład systemu i teorji S. Simon'a — Fourrier'a — i Owen'a.

Przez dwa lata nie bywałam na poniedziałkowych wieczorach — gdy mąż mój był więzionym, rok jeden w cytadeli warszawskiéj, a drugi w Zamościu — gdziem go odwiedzała i przez pół roku mieszkała. W tym czasie zatem na żadne nie uczęszczałam zebrania. Ale pozostało mi z owych chwil smutnych i pełnych trwogi, błogie wspomnienie doznanéj przyjaźni i współudziału. Bo w takich niedolach, Warszawa szlachetném celuje uczuciem. — Nie o tém wszelako teraz mówić będę.

Dnia jednego w południe, szłam panią Łuszczewską odwiedzić. W drodze spotkałam Józefa Korzeniowskiego sławnego dramaturga naszego i powieściopisarza. Wita serdecznie i pyta:

– A dokąd to pani wędrujesz?

— Do pani Niny.

— Idź pani, idź! Ja właśnie ztamtąd wychodzę. A czy wiesz, jakiego to głupstwa narobili znowu?

— Kto taki?

— Próżniaki, paplarze, nowiniarze, kłamcy! — uniósł się gniewem.

— To i cóż się stało?

— Rozpuścili bajkę, że poniedziałkowe wieczory zakazane zostały. Sami, jakoby złe wywołać chcieli!

— Ale zkądżeż to powstać mogło?

— Może ktoś chciał nowinę interesującą powiedzieć, skłamał dla nadania sobie pewnéj wagi, a może... Ah! — ścisnął mi rękę. — Idź pani, idź!

Rozstaliśmy się.

Panią Łuszczewską zastałam w jéj buduarze.

— Pani już słyszałaś, co nas spotkało? zapytała zaraz.

— W téj chwili właśnie od Pana Korzeniowskiego.

Usiadłyśmy na kozetce.

— Rozpuścili wieść, że książe poniedziałki zakazał, zaczęła — i wieść ta piorunem rozbiegła się zaraz. Więc téż w przeszły poniedziałek było tutaj zatrzęsienie osób, un monde fou! I każdy pytał, każdy okazywał współczucie. Chcąc przeto od razu strącić tę bajkę, ażeby czegoś nie wywołała, jak to bywa nieraz, musiałam do zamku z wizytą pojechać. Nie bywam tam, jak tylko z powinszowaniem Nowego-roku. Mąż mój ma trzy urzędy, więc téj formy dopilnować potrzeba. Pojechałam więc. Przyjęto mnie uprzejmie bardzo. Książe w dobrym humorze zagadał: że ta wizyta moja istnym białym jest krukiem. Odpowiedziałam, że w ogóle nigdzie nie bywam, na żadnych wystawnych i licznych zebraniach. — „Tak, tak — odrzekł — bo panią abserbują całkiém poniedziałkowe wieczory. I cóż tam robicie?“ — „Bawimy się.“ — „Czytacie, deklamujecie, brzmi fortepian, śpiewacie. No, no, zawitam i ja kiedy niespodzianie także, ale wprzódy nauczę się po polsku.“ Pokłoniłam się naturalnie. A potém odjechałam.

Rzecz więc cała ubiła się szczęśliwie i gadanina ustała zaraz.

(Ciąg dalszy nastąpi).

RECENZJA TEATRALNA.

Lwy i lisy na teatrze poznańskim.

Pan Sainte-Agathe (pan Konarski), świecki członek Towarzystwa Jezusowego, wychował wice-hrabiego de Valtravers (p. Wolski) i chciałby go ożenić z krewniaczką jego, panną de Birague (p. Nowakowska), obiecuje sobie bowiem, że utrzymując wpływ przeważny na młodą parę, wielkim jéj majątkiem będzie mógł rozporządzać na cele zakonu. Bogatą dziedziczkę otacza już niemały tłum wielbicieli, ale dojrzała nad podziw „dziewica-lwica“ gardzi ich zabiegami, i jeżeli kto, to chyba baron d'Estrigaud (p. Kaliciński) zdobędzie jéj rękę. P. baron ma wszystkie wady niestarzejącego się nigdy kawalera: gra, rzuca pieniądze na wszystkie strony,

szuka widocznie awantur, bije się nawet, i ma usłużnych nieprzyjaciół, którzy o nim piszą — w skutek czego. zupełnie tak jakby to było w Poznaniu — pływa na wierzchu społecznego piwa.

W chwili, którą uważał za stósowną do oświadczyn, panna Katarzyna pokazała się nieco powściągliwą, i w miejsce stanowczego przyzwolenia, odpowiedziała konkurentowi małym znakiem zapytania. — Tu się spekulant pan baron, s przeproszeniem, poszkapił, — gdyż zamiast uderzyć w strunę czułości, zapału, choćby udanego, sięgnął biedak po cynizm, i śmiał powiedzieć już chwiejącéj się w postanowieniu milionerce, że jéj nie prosił o rękę — tylko o — miłość.

Wątpię, żeby podobny amant znalazł się na ziemi Piasta, ale kiedy p. Emile Augier zaręcza, że był taki w Paryżu, to jużci na słowo jego trzeba mu wierzyć i dodać że p. baron d'Estrigand teraz dopiero sądzi, że wygrał stawkę, ze „zaszachował królową", że ta mu każdéj chwili wpadnie do matni, kiedy się tylko jego dandysowskiéj mości spodoba sięgnąć po jéj wiano. Ale panna Katarzyna, choć lwica, to jednak w lepszem znaczeniu tego wyrazu. Ma ona poczucie godności własnéj, nie za samą tylko goni ekscentrycznością, chce ona żeby przy zewnętrznéj oryginalności małżeńskiego pożycia nie brakło w niem wewnętrznéj zgody i harmonii duszy; skąd poszło, że miłość, która w jéj sercu już kiełkowała, już może drobne wypuszczała listki, naraz zwarzyła się, zastygła – ustępując miejsca uczuciu równie żywéj wzgardy, prawie nienawiści.

Na tak przysposobionym gruncie zawiedzionéj duszy łatwo drugiemu siać ziarna nadzieji. Jakby na zawołanie przybywa z Afryki niejaki p. Champlion (p. Nowakowski), a kiedy z Afryki, to już nie co innego jak lew. Młody ten podróżny jest prawda goły jak turecki święty, ale za to odważny i silny, bo zadusić wróbla i murzyna, to równa dla niego zabawka. Przyjechał do Paryża, żeby zebrać fundusze do nowéj wyprawy, któréj celem ma być wyzwolenie towarzysza podróży, co gdzieś zginął w pustyni. — Zwyczajnym śmiertelnikom potrzeba zwykle nieco więcéj czasu; ale dla lwów wystarczy jedno spojrzenie — by się poznać, pokochać, pobrać albo umrzeć. — W godzinę po odejściu Champliona pokój Katarzyny zapełnia się samemi mapami Afryki i dziełami opisującemi podróże po téj części świata. Dzieła te każdy może widzieć na jéj stole. — Lwica lwu się oświadczyła. — S koleji roztacza się teraz przed naszemi oczyma cała sieć intryg nawiązanych w lisiéj jamie fraczkowego jezuity. Jich autorami: pan de Sainte-Agathe wraz z baronem i poniekąd s państwem Prévenquière, jich celem: ożenienie Katarzyny s panem de Valtravers. Ale wychowaniec-kuzynek, także młode lwiątko, bo się już zgrał w karty i narobił długów i obrócił w kole rusałek z opery, targa wszystkie te sidła. Widz, ucieszony nakoniec oryginalnym pobraniem się lwiéj pary, na dobitkę dowiaduje się, że baron d'Estrigaud, który przez całe życie wkradał się w stadła, trwonił majątki podstarzałych kokietek, oszukiwał w grze, słowem ratował się tylko bezczelnością, kłamstwem i zbrodnią, po ostatniéj katastrofie dojrzał do tyla — by zostać jezuitą. Czy fraczkowym? czy też przywdział sukienkę? na to p. Augier nie odpowiedział.

S tych kilku wyrazów czytelnik poznał treść i środki. Trzy są sposoby łączenia w sztuce myśli z wykonaniem. Albo oboje są piękne i w zupełnéj zgodzie: wtedy powstaje arcydzieło. Albo daléj myśl słaba ożywia piękne wykonanie, lub przeciwnie myśl piękna pokrywa niedołężne jéj przeprowadzenie — i to oboje jeszcze znośne. Lecz kiedy pomysł, nie tylko że nie piękny, ale zgoła ujemny, przeczący, wtenczas rzadko powstać może coś powabnego, i najczęściéj spotkać się przyjdzie s karykaturą.

Stanowisko krytyka uwalnia mnie od szukania pobudek, z jakich autor to lub co jinnego napisał. — Zakon jezuicki, jak wszystko publiczne na świecie, ma swych przyjaciół i nieprzyjaciół, i mieć jich będzie do końca świata. Nie pytam téż oczywiście, czemu tłumacz i dyrekcya sceny sztukę tę wprowadziły na deski; przypuszczam, że nie mieli jinnego celu na oku, jak ten, żeby nowym utworem zabawić publiczność. Tymczasem wszyscyśmy się podobno zawiedli, i sam pan Augier nie byłby przyklasnął przedstawieniu. Nasamprzód co do nas. — Po Żydzie wiecznym trudno coś ciekawszego napisać. Pegaz pana Augiera, to czysty Rozynante w porównaniu do tego rumaka, który unosił pana Eugeniusza Sue. Pan Augier zarzuca Jezuitom chęć despotyzmu i nieprzebieranie w środkach. Ani jednego ani drugiego nie przeprowadził logicznie, tak dalece, że nawet za Serafiną pana Sardou nie może nosić powłoki. Któż u niego przedstawia tę wszechwładną tyraniję ducha, jaką przypisuje zakonowi? Oto taki uniżony, mizerny Sainte-Agathe; figura niby też trochę wyższa od lokaja, ale mierniejsza od sprytnego kamerdynera. Gdzież tu owe objawy wszechwładzy? gdzie jich skutki namacalne? — Pan Jezuita nie przebiera pono w środkach, bo chwyta się obmowy, obłudy; — ale p. Augier samochcąc osłabia wrażenie téj ochydy, kładąc potępionemu w usta wielkie słowa, że się nie da przekupić — że nie pracuje w celach osobistych. Taki człowiek, który z zaprzaniem się swéj własnéj woli i żądzy, poddaje się woli drugich, może być godnym politowania, ale nędznikiem nie jest żadną miarą.

Reszta charakterów, równie słabo jest opracowana. Autorowie cesarstwa widocznie noszą w utworach swojich wszystkie wady spółczesne; błyszczeć chcą powierzchownie, a wewnątrz są próżni, jeżeli zaś pełni, to samolubstwa. Jich bohatyrowie i bohaterki szukają chluby w tym, żeby niewiarą walczyć przeciw bigoteryji, a lekkomyślnością i rozpustą zasłaniać się od zarzutu obłudy.

Utwór tak mierny i zalecający się chyba przepychem i rutyną salonową, z jakiemi grać się go powinno, mógł się tylko ratować, oddaniem go w całości, i grą pod każdym względem poprawną. Natomiast był obcięty aż do niezrozumiałości, a oddany z widoczną wprawdzie starannością i sumiennością, ale mimo to, nieco słabo. — Trudno naśladować życie, którego się nie widzi i nie widziało. Artysta potrzebuje wzorów; w Polsce takich wzorów nie ma, powiemy, że ani nawet w Warszawie. Łatwo stąd domyślić się, że zrozumienie, a przynajmniéj oddanie rzeczy było miejscami bardzo chybione. Pani Nowakowska, stosunkowo najbardziéj przejęta swą rolą, przedstawiała się raczéj jak młoda wdowa a nie jak panienka. Jerzy Champlion wydał się nam zbyt miękkim i sielankowym, choć był pięknie bardzo ucharakteryzowanym i starał się nie popadać w komikę, w któréj jest mistrzem niekiedy. Pan Wolski za mało był pewnym siebie, nawet widocznie zmięszanym; panna Heneman i p. Zboiński skazani byli samą rolą na bardzo podrzędne stanowisko, choć nie powiém, żeby byli grali gorzéj od jinnych. Pan Kaliciński, tak wszędzie akuratny i jasny, tą razą nie trafił we właściwą strunę, co już stąd widać, że sprawozdawca do Dziennika Poznańskiego na drugi dzień jeszcze policzył go między lwy, zamiast między lisy.

Panu Konarskiemu, głównéj męzkiéj figurze sztuki, poświęcim słów więcéj. Pan Konarski ucharakteryzował się, jak zwykle, dobrze, ale pozwolim sobie uwagi, że czarne rękawiczki w téj sztuce nie były już potrzebne. Ubiór każdy powinien się stósować do ram zwierciadła, w którym się artysta s tytułu swéj roli przegląda. Salon tłumaczy się nie tyle za pomocą sukni, jile za pomocą ruchów, giestów, stylu i nagięcia głosu. Suknia większą odgrywa rolę w niższéj komice, burlesce i opera-buffa; lecz kto do salonu wchodzi,

choćby z maleńką dozą przesady, grzészy przeciw przepisom towarzyskim, czego na salonach nie cierpią. Mówimy o tym dla tego, że p. Konarski w Lwach i Lisach pod tym względem stanął właśnie już na krańcu prawdopodobieństwa. W wysłowieniu także należy zachować przyzwojitą miarę. Dowcip lub sentencyja największéj warte wtenczas, gdy słuchacze śmieją się do rozpuku lub płaczą jak bobry, a humorysta ni wąsem nie ruszy. Le ton fait la chanson. To samo zdanie zmienia swe znaczenie, w miarę tego, z jakim wypowié się je głosem. Pan Konarski miał w swéj roli kilka miejsc, o których przeczuł, że są jéj okrasą; wypowiedział je wszakże niekiedy s tak znacznym odcieniem emfazy, że uważny widz mógł być przekonany, już aktor razem z publicznością śmieje się z dowcipu autora. Ten lekki zarzut niech p. Konarski przyjmie za dowód uznania owoców jego pracy; mówim o nim staranniéj, bo i on staranniéj od reszty męzkiego personału w „Lwach i Lisach" pracował.

W końcu jeszcze mały ogólnik. Jeżeli teatr poznański chce uchodzić, nie już za świątynią moralności, historyji i obyczaju, bo dotąd na téj drodze mało jeszcze postąpił, ale jeżeli chce być przynajmniéj szkołą języka, to niechże panowie artyści, zechcą łaskawie zastanowić się nad następującą szczerą i przyjacielską uwagą.

Każde miasto i prowincyja, każda epoka wreszcie, mają swój żargon jużto pospolity, jużto salonowy. Mogę jednak Szanowne Towarzystwo zapewnić, że żadna scena europejska nie ciérpi żargonu. Czy w Berlinie, czy w Dreźnie, w Wiedniu czy w Hamburgu, wszędzie mówią na scenie jednakowo, choć w salonach i na ulicach odmiennie. Nie chcielibyśmy żeby na deskach poznańskich odbijały się różnorodne echa przyzwyczajeń nabytych w Wilnie, Warszawie, Lwowie, Krakowie a nawet w Poznaniu. W tym względzie pani Nowakowska i pan Kaliciński chwalebny stanowią wyjątek — mówią oni bowiem językiem miłym dla każdego polskiego ucha. Mówią oni, co nadto, poprawnie, gramatycznie, czego o znacznéj części reszty towarzystwa powiedzieć nie można. Nie słyszałem z jich ust zwrotów jak n. p. czy znasz tę panię, ty masz swoję racyję, nie rażą oni naszego ucha młodym człowiekiem nawet wtenczas, gdy go autor wsadzi miasto młodzieńca; nie mówią: nic nie pragnę, lub tym podobnie, czym wszystkim tak wielu z reszty towarzystwa kaleczy język, roznosząc te rażące błędy po całém mieście i społeczeństwie wielkopolskim.

Gdyby sprawozdania nasze potrwały dłużéj, to nie przestalibyśmy nigdy podobnych błędów wytykać, uważając to sobie za równie wielki, a może i większy jeszcze obowiązek jak ocenianie dzieł pod względem treści i wykonania.

Rz.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Tém gorzéj! — stoczyłem ze sobą zaciętą walkę. Jak zmora gnębiło mnie przez tydzień cały, poczucie winy, a przyznać się nie miałem odwagi. Tém gorzéj! wreszcie uderzyć się w piersi muszę.

Zaledwo łakomém okiem spojrzałem na przeszłą moją kronikę, jeszczem nie zdołał nasycić serca widokiem rozsianych po niéj piękności, a już spostrzegłem niezmierną zbrodnię, jakiéj na pp. Meilhac i Halévy popełniłem. W XIX wieku obrazić spółkę, rzecz co najmniéj zuchwała! A ja? — odjąłem pp. Meilhac i Halévy zaszczyt napisania „Frou-Frou" i przysądziłem go p. Sardou, którego zapewne od przybytku tak doskonałego dramatu głowa nie zabolała. I to jeszcze pod sam benefis p. Nowakowskiéj. Czuję, żem lżejszy, oddawszy co się komu należy; przyrzekam na przyszłość być ścisłym jak algebra i rozpoczynam poprawę najdokładniejszą pod słońcem wiadomością o benefisie pp. Zboińskiego i Dobrzańskiego, który przypada 28 bieżącego miesiąca i roku. Téj spółki przynajmniéj nie obrażę!

Bo pp. Zboiński i Dobrzański stanowią spółkę. Hiszpański gość: „Lekarz swego honoru" Calderona, którego wprowadzają nam na scenę, mam nadzieję, że wyleczy ich kieszenie z chronicznéj choroby artystów i... literatów!...

* * *

Niestety! nie można znaleźć tak szybkiego lekarstwa na chorobę „Przyjaciela dzieci" lwowskiego, który świeżo ogłaszając ilość swoich prenumeratorów ledwo 26 dorachować się potrafił! Cóż dziwnego, jeśli przy takiém poparciu pismo, nie doczeka się 24téj rocznicy swego istnienia jak doczekała się jéj „Gwiazdka Cieszyńska." Daj jéj Boże setny jubileusz. Stoi, czujna i świadoma swéj drogi, na straży polszczyzny i nieoblliczone usługi ludowi na Szlązku oddaje. Jéj to tchnieniem i pomocą krzepią się takie duchy jak owego Szlązaka, o którym już kilkakrotnie kronika wspominała. Mówiąc o nim, z rozkoszą zapisujemy, że na wezwanie nasze do dania mu pomocy w książkach znalazło się szlachetne echo pomiędzy czytelnikami. Dotychczas możemy wymienić p. J. R. który ofiarował na ten cel 5 tal. i p. J. Wy...... 3 tal. Dobry początek! Pewni jesteśmy, że ofiarność publiczna, któréj świeżo mieliśmy kilka uderzających dowodów, nie skończy się na tém. W jéj to imię p. Ant. Raczyński z Psarskiego zasilił darem 500 tal. szkołę Żabikowską, któréj pożyteczna działalność przy takiéj sympatji coraz bardziéj się rozwijając, wkrótce, mamy nadzieję, nagrodzi pożytkiem narodu patrjotyczną hojność współobywateli.

* * *

Do téj ofiarności odwołuje się także w wydanéj świeżo broszurce: „Do artystów polskich w sprawie muzeum Rapperswylu" Teofil Lenartowicz. Uważa on muzeum za arkę, do któréj najdroższe skarby narodowe ściągnąć potrzeba. Wskazuje jak z dnia na dzień nikną pod bluźnierczą ręką pamiątki zgromadzone w Warszawie i Wilnie. — Nareszcie zwraca uwagę artystów na to, że Szwajcarjaześrodkowująca w sobie podróżników całéj Europy, postawi przed ich oczami muzeum Rapperswylskie jako świadectwo życia i wielkości narodu, którego rozbitkom udziela przytułku.

Dotknąwszy muzeum z Rapperswylu poczytujemy sobie za obowiązek wspomnieć o obchodzie uroczystym rocznicy powstania narodowego 1863 roku w Zürichu. Oto jak mówi o niéj sprawozdanie:

„Staraniem Towarzystwa młodzieży kształcącéj się w Szkole politechnicznéj urządzony został, w jednym z najdogodniejszych lokalów miasta, obchód ósméj rocznicy powstania narodowego. Przeszło stu Polaków z różnych dzielnic kraju wzięło w nim udział. Pomiędzy mówcami znajdowali się reprezentanci innych narodowości, którzy oświadczyli jak najżywsze współczucie dla Polski, i tak było dwóch delegowanych włoskich i jeden z Rumunji. Włosi oddali hołd wdzięczności Polakom, którzy krew przelewali za niepodległość ich kraju, i Francji téj siostrze Polski w niedoli. Towarzystwo Kościuszkowskie w Saint-Gallen przysłało telegram, w którym oświadczyło, iż bierze w duchu udział bratni w uro-

czystości obecnéj. Wiele toastów wzniesiono na cześć Polski, jéj męczenników, ludów okazujących gorące dla niéj współczucie, solidarności w pracy narodowéj, w pamięć poległym za świętą sprawę, z ufnością w Polski odrodzenie i t. p.

Przemówienie hr. Platera było ważne z tego względu, że się zajął wykazaniem przyczyn, dla których walka narodowa stuletnia nie osiągnęła dotąd swojego celu. Oto jest w treści jego mowa:

„Synowie Polski!

„Zebrani obecnie dla uczczenia ósméj rocznicy powstania narodowego, oddajemy zarówno hołd wszystkim, które je poprzedziły, gdzie krew polska się lała za wolność i niepodległość, w téj walce stuletniéj, która skończyć się musi odrodzeniem ojczyzny naszéj.

„Tu zachodzi pytanie dla czego Polacy odzyskać jéj dotąd nie mogli? Wszakże nie brakło patrjotyzmu i ducha poświęcenia; wszakże podczas każdego powstania były czyny heroicznego wysilenia! Prawda — ale nie było ani razu wszystkich warstw społeczeństwa polskiego tłumnie pod bronią, bo nie było oświaty tak upowszechnionéj, aby zapaliła świętym ogniem miljony serc polskich. Dzielne rycerstwo nasze nie zagarnęło jeszcze do siebie massy mieszkańców, bez któréj nie ma w prawdziwém znaczeniu armji narodowéj.

„Przejąć się należy tą gwałtowną potrzebą; niech dzisiejsze pokolenie pracuje z całą energją patrjotyzmu nad szerzeniem oświaty w kraju naszym, albowiem skoro będzie 20 miljonów Polaków, miłujących ojczyznę, będzie i Polska niepodległa.

„W tym kierunku młodzież nasza idąc coraz bardziéj gotuje główne żywioły odrodzenia. Od lat 40 świadek i współuczestnik w pracach i dążnościach naszych narodowych, witam was synowie Polski jako jéj przednią straż, jako pionierów w karczowaniu jéj intellektualném. Nabrawszy sami światła trudem i pracą, będziecie je szerzyć we własnym kraju i przyczyniać się gorliwie do upowszechnienia oświaty, do utworzenia tych głównych podwalin bytu państwowego.

„Drugą przyczyną niepowodzenia był niedostatek pracy codziennéj, organicznéj. Patrjotyzm nasz wybucha jak ogień w chwili walki, nawet niestosownie wybranéj, ale nie dość się objawia w mozolnéj i cichéj pracy nieustannéj, która gotuje żywioły niezbędne do odrodzenia.

„Trzecią wreszcie przyczyną było usposobienie opozycyjne, z którém się rodzą Polacy, bardzo naturalne w obec wroga; ale ta opozycja stawszy się nałogiem, manifestuje się nawet nieraz w obec narodowych dążności, i przyczynia się do ogólnego rozstroju. Należy przeto wziąć rozbrat z temi wrogami domowemi, i dążyć do wspólnéj pracy w jednym kierunku, nie dając się powodować wyłącznie duchowi stronnictw politycznych, ale duchowi narodowemu, który wszystkich Polaków zwołuje w imię jedności, solidarności i najdroższych interesów ojczyzny. Po odzyskaniu niepodległości będzie czas na grupowanie się stronnictw i ich ścieranie się.

„Wasze serca polskie, Panowie, pójdą za patrjotyczną dewizą: „jeden dla wszystkich, wszyscy dla jednego“ któréj poświęcam mój toast.“

* * *

Smutnie przystaje do powyższego obchodu wiadomość o zgonie jednego z naczelników rozpacznéj walki 1863 roku. Rochebrune, kapitan żuawów w powstaniu, walczący obecnie w obronie swego kraju poległ od kuli polskiéj jak przypuszcza „Standard“; było to bowiem pod Montretout, którego bronili żołnierze pułków poznańskich przeciw wycieczce jenerała Vinoy. Bodajby Standard mylił się we względzie narodowości kuli, która zabiła naszego przyjaciela! Mimowoli w obec takich wspomnień na usta ciśnie się gorycz z jaką znany i słusznie ceniony u nas poeta pan Henryk Merzbach w liście swym do redakcji, z Brukseli, mówi:

Wieki rwały okowy — dzień jeden je sprzęga!...
Jak ów szatan indyjski*) co na ziemię zlata —
I gwałci własne dziecko — i zabija brata —
I nożem bratobójczym pierś matki dosięga —
I z jéj łona martwego krew zakrzepłą pije....
A potem, syt zwycięztwa, gdy na jéj pogrzebie
Słyszy głos co doń woła: „Coś zrobił szatanie!“
Odpowiada ze śmiechem — tak się śmieją żmije: —
„Com robił? Chciałem sprawdzić czy jest Bóg na niebie —
I czy ukarać szatana jest w stanie!“

Jak ów Szatan, tak dzisiaj Zbrodnia drwi z Ludzkości....
Przeklinam cię, Zwycięzco, co się zwiesz Żelazem —
Co pomnik sobie wznosisz z porąbanych kości —
Co nie idziesz ku słońcu — ale czołgasz płazem!

. . . .

Śpiewałbym — a me strofy szłyby jeszcze daléj
Niż te kule, od których Pierś Świata się pali!
Śpiewałbym. . . ażby Pan Bóg zlitować się raczył
Nad nami. . . i biednéj ludzkości przebaczył!
Śpiewałbym . . .
Ale boleść, wygnanie, obojętność świata
Złamały polot ducha! . . . Czas z serca wymiata
Ideały i Wiarę . . . z łez struny rdzewieją —
A bóle nowe z dawnych boleści się śmieją! . . .

Chcecie, Bracia z Nadgopla, bym z lutni sierocéj
Śpiewał . . . czy jako puszczyk co wrzeszczy wśród nocy? . . .
Dzisiaj noc straszna! Przyszłość. . .
O, nie myślmy o niéj! . . .
Pracujmy każdy w własnéj, rodzinnéj ustroni!
Siejmy pod grudę wieku — a Pan Bóg pomoże —
Więc daléj Tygodniku! Naprzód w imie Boże! —
My siejmy — a choć sami zbierać nie będziemy,
Zostawimy plon dzieciom, gdy z żalu pomrzemy!
Żołnierzu — Redaktorze! Szpadę twą na pióro
Zamieniłeś . . . Szczęść Boże! a Tygodnik górą!

Bruksela 26 stycznia 1871.

Henryk Merzbach.

* * *

Wypada nam wspomnieć jeszcze o dwóch ostatnich prelekcjach na wielkiéj sali Bazarowéj, pp. Dra Wituskiego i Hochbergera. Pierwsza z nich o „Analizie spektralnéj“ mimo dość suchego materjału, popularnie ułożona i wypowiedziana zapoznała zgromadzoną publiczność z fenomenami załamywania się światła przez rozmaite pryzmaty. Druga o budownictwie, a w szczególności o Schinklu, wykazała na szeroko zakreśloném tle dotychczasowego rozwoju architektury i w ogóle sztuk pięknych zasługi tego znakomitego męża.

Kończąc, dowiadujemy się o mającym wkrótce nastąpić koncercie znanego i ulubionego w naszem mieście artysty Michała Hertza; o bliższych jego szczegółach postaramy się donieść czytelnikom.

*) Podanie indyjskie.

W.

Korespondencja z Krakowa.

Z Krakowa, 22 stycznia.

(≌) Wasz wieczorek redakcyjny, a potem pożegnanie, skropione łzami i kroplami poczciwego Moëta zachwiały wrodzoném mi lenistwem. Postanowienie napisania Wam czegoś bardzo pięknego trwało cały tydzień, który zużytkowałem na odbycie drogi z Poznania do Krakowa, naturalnie nie najkrótszą linją. Stanąwszy jednak na miejscu, zetknąwszy się ze stale tu panującą monotonją zapomniałem o wszystkich pięknych planach do mojego listu i przeczekałem jeszcze tydzień w nadziei, że odszukam materjał godny przeniesienia na kartki Waszego „Tygodnika“.

Proh pudor! — Cała znana światu potęga naszéj miejskiéj działalności skierowaną została na uświetnienie balów publicznych, które jakoś dotąd mimo godnych lepszego losu usiłowań naszych mobilizatorów, mimo nawet dziennikarskich reklam i, o zgrozo, mimo zapowiadanych a nieznanych jeszcze w Krakowie pangermańskich kotyljonów, nie zdołały się wznieść do 20 par mazura. Straszna grozi Wam klęska o mężowie, którzy nieznaną i niepraktykowaną w ekonomji politycznéj metodą, cierpiącéj ludzkości za pomocą podskoków i hołubców wyfrakowanych filantropów w pomoc przyjść chcecie. Żal mi cię o szkólna młodzi, co rzuciwszy elementarze pod ławę, z takim zapałem uwijasz się z zaproszeniami po mieście, lecz żal mi jeszcze więcéj twoich zwierzchników, co na takie pozwalają hece. Żal mi cię nakoniec cały Krakowie, bo nawet w sprawie tańców chęciom twym sprostać nie umiesz.

Ponieważ miasto nasze choruje od dwóch już lat na stowarzyszenia i komitety, spodziewać się zatém należy, że z końcem karnawału wysadzoną będzie osobna komisja do zbadania przyczyn stojących na zawadzie balowéj świetności, komisja ta podzieliwszy się na odpowiednią żywotniéj potrzebie ilości sekcji, dotrze organiczną drogą do źródła złego i takowe ad usum naszych wnuków wyjaśni. Ja więc niechcąc domysłami uprzedzać, ani też wyjaśniać tego, co aż nadto jest jasne, przechodzę do innéj kwestji, jestem bowiem przekonany, że opowiadanie o żydówce, która na jednym z balów nie chciała tańczyć vis-à-vis z artystką, albo wiadomość, że dotychczasowy głównodowodzący polkami i mazurami zawalcowawszy się na pagórek hymenu, nie zostawił po sobie z godnie wyrobionemi nogami następcy, interesować Was nie będzie.

Ciekawsze jest przyszłe rozwiązanie konkursu dramatycznego, na które świat nasz literacki niecierpliwie oczekuje. Z początku niedowierzanie, uzasadnione do pewnego stopnia takiemi np. orzeczeniami sędziów konkursowych jak było ukoronowanie „Żyda“ p. Lubowskiego, téj wykwalifikowanéj lichoty, i skład obecnego sądu wielu bardzo istotnym talentom odebrało ochotę pisania. Powoli jednak zaczęły się schodzić manuskrypta i oto sędziowie ujrzeli przed sobą 5 tragedji, 7 dramatów i 12 komedji, pomiędzy któremi znajdują się podobno utwory wielkiéj scenicznéj wartości. Życzyć więc tylko wypada, aby szanowny areopag — z członków którego, mówiąc nawiasem, jeden tylko pan St. Koźmian wytrawnym jest znawcą — nie uległ presji tych z pomiędzy siebie, co oponują quand même wszystkiemu, co nowe i młode, i uczynił wybór odpowiadający wymogom estetyki i techniki scenicznéj. Cokolwiek się jednak stanie, to pp. Łubieński i Zamojski wyznaczając nagrody konkursowe, wielką bardzo literaturze i scenie narodowéj oddali przysługę, scena bowiem nasza biorąc na repertoar kilka oryginalnych polskich utworów, nie będzie musiała uciekać się do arcymiernych wyrobów pokątnéj dramaturgji, lub posiłkować się tłomaczeniami francuskich autorów, być może znakomitych dla Francji, ale wcale niepożądanych dla Polski.

Ponieważ o teatrze mowa, to już muszę Wam wspomnieć, że stan jego kwitnącym nie jest. Zdaje się, że wszystko podniosło głowę, co tylko byt jego i pomyślność podkopać jest w stanie. Wyjazd p. Modrzejewskiéj, Rapackiego i pp. Nowakowskich, następnie zaś zrzeczenie się artystycznego kierownictwa ze strony p. Koźmiana były elementarnemi klęskami, za któremi pójść miały inne. Niefachowa i nietaktowna dyrekcja, zupełny brak reżyserji, zaniedbanie technicznego porządku, dziwne a często politowania godne artykuły dziennikarskie mające uchodzić za krytykę teatralną — oto cały ładunek minujący krakowski teatr i mogący nim wstrząsnąć mimo istotnie poważnego zapasu godnych uznania sił artystycznych, do których powodując się zupełną bezstronnością, zaliczamy panie: Hoffmann, Ekerową, Wolską i panów Bolesława Ładnowskiego i Feliksa Bendę. W ostatnich czasach zaangażowała nadto dyrekcja panny: May do komedji i Ćwiklińską do operetek, obie utalentowane młode osoby, po których publiczność nasza wiele sobie obiecywać może.

Chcieć i módz to są zupełnie różne rzeczy, dyrekcja widocznie chce jak najlepiéj, lecz nie umie, a poczęści nie może. Poparcia ze strony publiczności mało, a nieprzyjemności ze strony osobiście niechętnych recenzentów dużo. „Kraj“, który w dziale swoim politycznym przedstawia znakomity okaz zawisłéj od potrzeby lub humoru przypadkowości, w szpaltach, poświęconych recenzji teatralnéj, przeprowadza żelazny system opozycji, mającéj mu widocznie posłużyć ku zadowolnieniu anekcyjnych zachcianek. „Czas“ ze swéj strony bierze teatr niby to w opiekę a istotnie w ojczymie objęcia. Nie wiemy jakie pobożny „Czas“ ma w tém widoki, wiemy jednak, że to, co u niego nazywa się recenzją, jest tylko zlepkiem niedorzeczności, pewnym rodzajem biuralistycznéj szablony i świadectwem, że pan sprawozdawca o teatrze i wszystkiém co sceny dotyczy najmniejszego niema pojęcia. Inną zupełnie cechę noszą recenzje „Przeglądu polskiego“ — ten, który je pisze, jest w sztuce swéj biegłym i trafne jego spostrzeżenia oparte na estetycznéj analizie byłyby jeszcze godniejsze uznania, gdyby autor ich pogardził koturnową pompą i niemiecką ciężkością, a nadewszystko gdyby zechciał się przekonać, że jego protegowany aktor p. Fischer nie jest tak znakomitym artystą, za jakiego go wydaje lub raczéj, na którego chce go par force wykierować. Nie chcemy się tu spierać z krytykiem „Przeglądu polskiego“ o, jemu tylko znane, dla innych zaś ukryte zalety artystyczne p. F. — Każden jednak bezstronnie władający okiem i słuchem przyzna nam, że natura uposażając p. F. nic nieznaczącą postawą, twardemi, ucinanemi ruchami niemającemi żadnéj styczności z dystynkcją i słabym, niezdolnym ani do modulacji, ani do uniesień organem mowy, zakreśliła mu pośród znakomitości dramatycznych takie mniéj więcéj stanowisko, jakie zajmuje udzielny książe Reuss - Greiz - Schleiz-Loebenstein i Eberswalde pośród europejskich potentatów.

Na polu wydawnictwa taka panuje cisza, że słychać skrzypienie pióra kreślącego rękopism niemający się doczekać nakładcy. Znany autor wielu dzieł dotyczących Martyrologji naszego ducha i ciała p. Władysław Czaplicki wykończa swoje pamiętniki, odnoszące się do epoki szubienic z 1846 i 1848 roku. Pierwsze arkusze téj ciekawéj pracy wychodzą już z pod prasy własnym nakładem autora, księgarze bowiem nasi tak nawet pokupnych książek wydawać nie mają ochoty.

Tym panom księgarzom wyrzutów nawet robić niepodobna; próbowałem wykłócić się z właścicielem jednéj z poważnych firm, ten jednak wysłuchawszy mnie cierpliwie oświadczył, że na pytających się o książki czeka tygodniami, na kupujących zaś miesiącami. W końcu pytał mnie, jak téj istotnéj pladze książkowstrętu zaradzić. Wydawać nieustannie, odpowiedziałem. Bardzo słusznie, lecz za co? Załóż pan magazyn mód obok księgarni na własny rachunek, a pobieranemi z niego zyskami pokrywać będziesz koszta wydawnictwa.

Księgarz uznał całą praktyczność zaimprowizowanéj rady i niebawem na jednéj z piękniejszych kamienic Krakowa zabłyśnie szyld z napisem: „Modes de Paris et Librairie.“

Od deblokowania Paryża zależy pomyślność wyrosłéj z mego sprytu nowéj instytucji.

O' Le.

Szkice z podróży w Tatry

przez

Walerego Eljasza.

Zrodzonemu na podnóżu gór, nawykłemu patrzeć w świat górski, tajemniczy, pełen cudownych uroków, nie zastąpi go inny, choćby najrozkoszniejszy kąt ziemi; tęsknić będzie za wodami, za wichrami, za wszystkiém, wśród czego wzrósł, bo nic nie sprosta krainie górskiéj. Mieszkańcom równin trudno pojąć tęsknotę, jaka opanowuje górala, gdy mu przyjdzie długo przebywać w równinach, nie mówiąc już o zamieszkaniu. W kim tkwi chociaż iskra poezji, ten na widok gór uczuwa do nich pociąg nieokreślony, jest coś, co ludzi tam zwabia. Jeden z górali Zakopiańskich (Maciéj Sieczka) w prostocie swojéj zastanawiając się nad przyczyną dążenia ludzi na góry wyrozumował, że na górze wydaje się człowiekowi, iż jest bliżéj Boga.

Nie odmówił i naszéj ziemi Stwórca cudownéj ozdoby, ma bowiem Polska swoje Alpy, chociaż swoim bardzo mało znane. Brak komfortu, hoteli, dróg dobrych i wszelkich wygód dzisiejszéj naszéj społeczności nie zastąpi prostota, rzekłbym jeszcze dziewiczość Tatr. Same wdzięki w całém tego słowa znaczeniu pięknéj, czarującéj przyrody tatrzańskiéj nie starczą za przynętę polskim turystom, zwłaszcza papinkowatym wymoczkom obecnego pokolenia, jakich lada niewygoda od podróży w nasze góry odstrasza; niema dotąd kolei do Tatr, ale jak bardzo słusznie W. Pol w Obrazach z życia i natury powiada, że „ci, co nie należą do postępowych zgniłków i mazgai, potrafią i dziś dostać się w Tatry na góralskim wózku.

Kraków do podróży w Tatry dla całéj Polski jest punktem zbornym, a ostatniém miejscem w dostawie wszelkich potrzeb i wygód cywilizowanego świata. Położony na podnóżu karpackiém, ukazuje w dali podróżnemu na ostatnim od południa widnokręgu cel życzeń, łańcuch gór, ale od razu nasuwa się pytanie, jak się tam dostać. W kilka godzin od Krakowa można stanąć wśród Beskidów, pierwszego pasma Karpackiego, ale do Tatr jeszcze daleko, bo przeszło 14 mil dzieli gród Krakusa od właściwych polskich Alp. Prześliczna droga nagradza trudy dwudniowéj wędrówki i niewygody noclegu w polskiéj karczmie, a ostatnim krańcem dla zamieszkania jest Zakopane, wieś wielka rozłożona u samych stóp Tatr, zkąd czyni się wycieczki do wnętrza gór. Wszelkie wiadomości, opisy, objaśnienia konieczne i nieodzowne dla podróżnego do Karpat streściłem w wydanym przez K. Żupańskiego roku 1870. Illustrowanym Przewodniku do Tatr, Pienin i Szczawnic; tu więc pragnę podać opisy jak najwierniejsze własnych wycieczek w góry, aby z nich mogła powstać całość dająca pojęcie jakie takie o Tatrach; zaś dla osób, co tam były, posłużą za wspomnienie.

Ponieważ ma to być zbiór obrazków z Tatr, który dopiéro po ukończeniu może być uporządkowanym, więc zamieszczać będę oderwane od siebie szkice bez względu, jak po sobie następować powinny.

Krzyżne.

Opowiadania o widoku, jaki się roztacza naokół z Krzyżnego, wydawały mi się przesadnemi, dopókim się sam o ich prawdzie nie przekonał. Położenie tego miejsca już samo przez się każe wróżyć o cudowności jego, bo jak nazwa tłumaczy, krzyżują się tu trzy wielkie wierchy, których zetknięcie tworzy równinkę na wysokości 6846 stóp wied. zwaną Krzyżnem.

Nie wiodła mi się wyprawa na Krzyżne, bo ilem się razy tu wybierał, mgła lub inne okoliczności stawały mi na przeszkodzie, aż wreszcie 18 lipca 1870 nie zważając na deszczową porę, udałem się na upragnioną wycieczkę ze starym przewodnikiem z Zakopanego, Maciejem Rojem, niegdyś jednym z słynnych skrytostrzelców na kozice.

Uprzedzono mnie, że to wycieczka daleka i zmudna, skąd się ledwo późno w nocy do Zakopanego powraca, zatém odpowiednio przygotowałem się do drogi. Wczas rano, po długiéj słocie, gdy się przecie zaniosło na piękną pogodę, opuściłem chatę z przewodnikiem. Szczyty piętrzyły się wspaniale jedne nad drugimi, nie czepiał się ich żaden obłoczek, widnokrąg był czysty; nadzieja pomyślnego osiagnięcia dawno zamierzonego celu podwajała siły.

Po przebrnięciu najprzód błotnistéj naówczas drogi przez wieś wyszliśmy na otwartą równinę, poprzerzynaną potokami, których szum mile pieścił słuch, a oczy nęcił powab pięknie oświeconych turni. Ciągle drogą idąc tą samą, daléj już przez las, to znów koło szeregu kuźnic, domostw, a wreszcie i karczmy nieopodal dworu w godzinę od wyjścia z chaty stanąłem za kładką u źródła ponad hałaśliwym strumieniem u stóp Bociana. Dotąd droga chociaż ciągle pod górę, ale wiodła równo, że się wcale żadnego utrudzenia nie czuło po przebyciu przeszło pół mili wzdłuż, a w górę 566 stóp. Odtąd poczęło się spinanie bystre po lesistém, nagłém zboczu Bociana drożyną znaną podróżnym, co się do Morskiego Oka przez Zawrat udawali, albo Stawy Gąsienicowa zwiedzali.

Pół godziny przeszło, gdym się wydostał na wierzch Bociana, a drugie pół godziny minęło, gdym stanął na hali Królowéj. Po drodze piękne widoki roztaczały się naokoło, zwłaszcza przy Kopach Królowych; gdzie było wzrok rzucić, napotykało się coraz to nowy przedmiot do podziwu. Nowości dla mnie nie było, bo poczynała się ona dla mnie od miejsca, skąd się zwrócić miałem w kierunku wyłącznie ku Krzyżnemu wiodącym, ale Tatry mają tę własność czarującą, iż zawsze choćby wielokrotnie widziane w coraz nowszéj i odmiennéj się szacie ukazują, więc oderwać oczu trudno mi było np. od widoków z pod Kopy Królowéj; miejsce już to warte, aby do niego drogi z Zakopanego nie żałować.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Skrzynka do listów.

Panom J. Gord... i J. Grz... we Lwowie. Prosimy o łaskawą odpowiedź na listy nasze.

X. M. Bej... w Krakowie. Przesyłkę odebraliśmy. Za życzenia dziękujemy.

Panom Wł. Bol... w Ostrowie i X. F. w Z.. Poczta miejscowa obowiązaną jest dostarczyć Panom żądanych exemplarzy; mimo to, wysyłamy je powtórnie, pozostawiając rozrządzenie zbywającemi numerami woli Panów.

Panu C. K. w Ismaïlji w Egipcie. List dość dawno już wysłaliśmy. Czyżby nie doszedł? Za przesyłkę serdeczne zasyłamy podziękowanie.

P. L. w miejscu. Wiersz „Do Polki“ drukowany nie będzie.

Panu Emilowi w Krakowie. Wiersze pańskie nie kwalifikują się do naszego pisma.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.